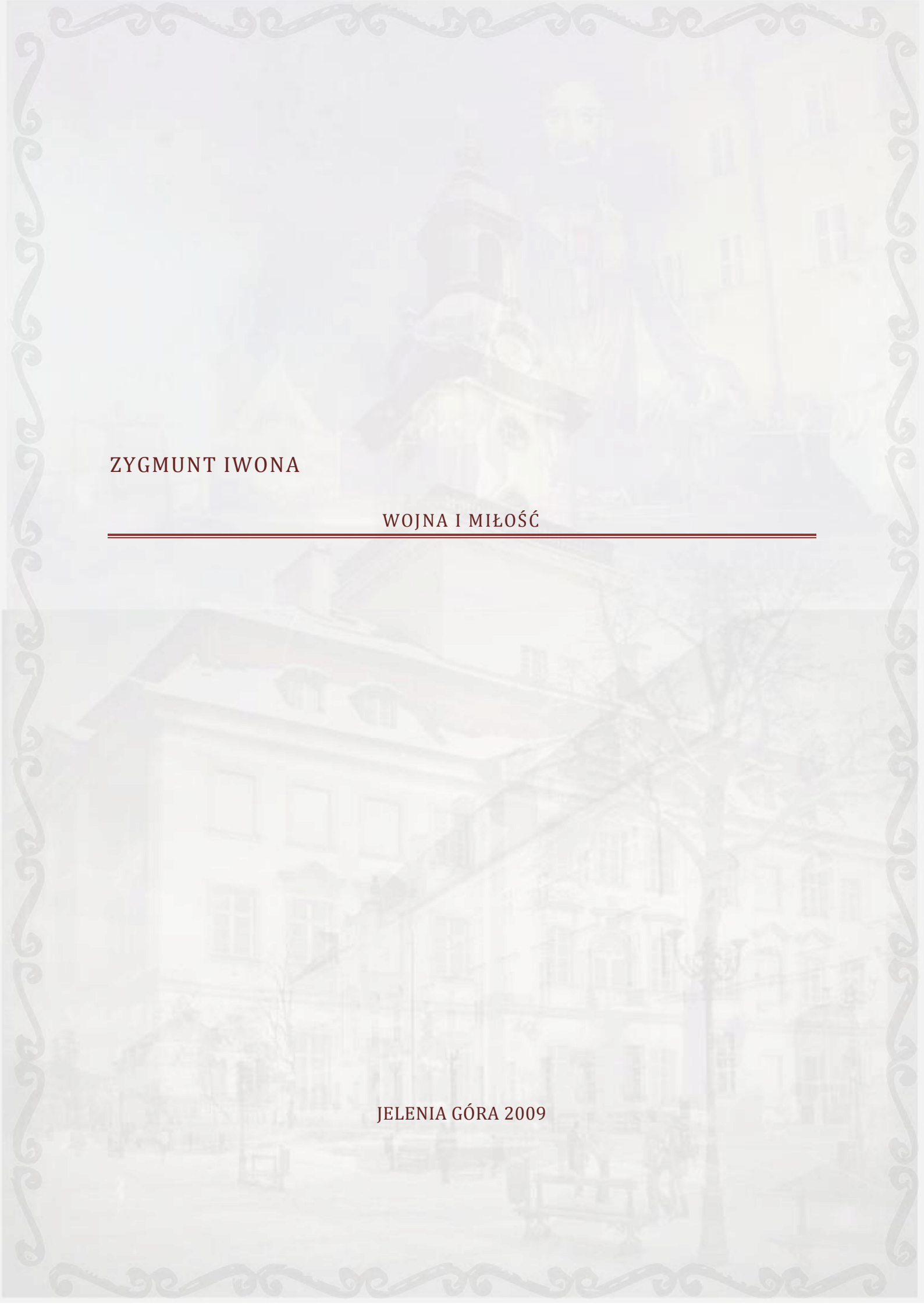




ZYGMUNT IWONA

WOJNA I MIŁOŚĆ

---

JELENIA GÓRA 2009

1.

22 luty 1945 rok, Kalisz

Miasto wyzwolili Rosjanie z Frontu Białoruskiego, ale strzały na przedmieściach jeszcze nie milkną. Wiadomo tylko to, że miejsce jednego okupanta zajął drugi. Nadal nie ma prądu, a na ulicach pełno jest czołgów i wojskowych patroli. Grupy krasnoarmiejców bez skrupów plądrują domy i zabierają mieszkańcom cenne przedmioty, żywność i alkohol. Za ten ostatni gotowi są zabić. Miasto jest jak wyludnione. Czekam niecierpliwie, kiedy będzie można wrócić do pracy w szpitalu.

W transportach wciąż przywożą rannych żołnierzy. Rosjan, Polaków, Niemców, w tej kolejności właśnie, przy czym śmiertelność tych pierwszych jest przerażająca. Umierają od chorób, z wycieńczenia, od ran odniesionych w walce. Nikt się tym nie przejmuje, nie mają nawet odpowiedniego ubrania, a to co mają, w większości jest zdobyte na Niemcach: buty, broń, wyposażenie. Kieszenie i plecaki mają wypełnione ukradzionymi przedmiotami.

Kiedy ich przywożą, najczęściej są pijani – taka polityka- powiedział mi jeden z oficerów, kiedy zapytałam jak chirurg ma go zoperować..

Dziesiątki niezidentyfikowanych ciał wrzuca się do wspólnych mogił, według narodowości. Radzieccy oficerowie mają przy sobie powleczone folią kartkę z danymi, u szeregowców znajdujemy niekiedy zniszczony kawałek papieru z nabazgraną niedbale informacją. Czasami nie ma nic.

Od kilku tygodni opiekuję się pacjentem z raną postrzałową. Pocisk utkwiał w płucach.

Przez długi czas leżał nieprzytomny, ale kiedy się ocknął wczoraj wieczorem, złapał mnie za rękę, gdy przechodziłam koło jego łóżka i powiedział; Natasza. Czy to przypadek? Mam na drugie imię Natalia.

14 marca 1945, szpital.

Często rozmawiamy podczas zmiany opatrunku, i moja znajomość rosyjskiego nareszcie się przydała.

Nazywa się Jakub. Jest lejtnantem, porucznikiem w batalionie łączności. Razem z Frontem Białoruskim zmierzał na Berlin, ale postrzelił go niemiecki snajper. W odwecie jego kamraci rozstrzelali dwudziestu cywilów niemieckich, schwytanych podczas próby wydostania się z miasta. Nie chce wracać do Rosji i nie chce iść z frontem do Berlina. Mówi że w obu przypadkach czeka go śmierć i trudno mi się z tym nie zgodzić. Żołnierz Stalina ma tylko jedną możliwość – iść do przodu, albo zginąć. Na nocnej zmianie rozdajemy morfinę, aby uciszyć krzyki cierpiących. Mój pacjent jest już w lepszym stanie i myślę, że podczas kolejnej kontroli zabiorą go ze sobą.

18 marca 1945

Jest zimno. Choć nie tak jak wcześniej, w lutym temperatura dochodziła do minus trzydziestu a nawet czterdziestu stopni. W mieście pojawiły się komunistyczne władze. Na początek, na zebraniu Komitetu Ludowego wybrano prezydenta miasta. Nie mogę w to uwierzyć, chociaż Jakub powiedział mi, jakie plany ma dla nas Stalin. Dalej nie wiem.

Janek przyniósł do domu część z zapasów żywności, które wcześniej ukryliśmy. Mama wciąż dobrze się trzyma pomimo choroby i panującego zimna. Węgiel skończył się przedwczoraj, a niedługo zabraknie też starych mebli do rozbicia na opał.

Ojciec mówi, że okupacja nie potrwa długo, najwyżej kilka lat, gdy już nie będzie czego rozkradać i wywozić. Oby się nie mylił!

Wieczorami, kiedy siedzimy przy świeczkach, opowiada nam jak służył w carskiej armii i walczył pod Port Artur. Pod łóżkiem nadal trzyma swoją szablę. O komunistach i o żołnierzach Armii Czerwonej mówi tylko „swołocz”.

19 marca 1945

Dziś w szpitalu zjawilo się NKWD. Kazali przygotować porucznika do wyjazdu. Zamierzali dostarczyć go do oddziału; według nich nadawał się już do wydawania rozkazów. W widoczny sposób weszli w szpitalu, najwyraźniej czując się tu już jak u siebie. Pytali o żołnierzy Armii Ludowej – nie było takich, wobec czego przekazali rozkazy porucznikowi i odjechali nieoznakowana furgonetką. Minęły cztery tygodnie odkąd przywieziono go do nas. Rana goi się powoli i z całą pewnością nie jest jeszcze w tak dobrym stanie aby wracać na front. Tego wieczoru poprosił abym pomogła mu się ubrać w mundur. Miał przy sobie dokumenty i broń. Nie zamierzał wracać do swoich, o czym poinformował mnie wprost, chcąc abym pomogła mu opuścić szpital. Odmówiłam.

24 marca 1945

W szpitalu coraz częściej można spotkać władze ludowe rozpytuujące o żołnierzy AK.

Jakub mówi, że rana postrzałowa nie jest już powodem do demobilizacji i odesłania do domu. Wielu Rosjan dezertuje i władze zaczęły rygorystycznie podchodzić nawet do rannych. Ci, którzy mogą chodzić są pakowani na ciężarówki i zabierani do jednostek, wskutek, czego proszą nas po polsku i po rosyjsku o pomoc.

Kiedy kilka dni temu chcieli go zabrać, ale nie był w stanie nawet wstać z łóżka. Wysoka gorączka i wymioty osłabiły go całkowicie. Zamknięto salę. Oficjalna wersja brzmi; dyzenteria.

30 marca 1945

Jakub czuje się już co raz lepiej. Chce żebyśmy poszła razem z nim. Ja zostawię tu rodzinę a on będzie poszukiwany za dezercję.

Boję się. Nie chcę uciekać, ale nie chcę też go stracić. Nie wiem co robić!

W domu nie mówiłam o nim, nie chcę ich narażać na wypadek gdyby byli przesłuchiwani...

2.

Maj/czerwiec 1946

Dwoje ludzi przedzierało się przez sosnowy zagajnik. Wysoki mężczyzna na przedzie dźwigał na ramionach plecak, a idąca za nim drobna kobieta niosła wypchaną płócienną torbę. Szli w milczeniu od czasu do czasu przystając i nasłuchując niosących się z oddali głosów. Zbliżali się do jakiejś wsi, jednej z tych opuszczanych przez Niemców i niemal natychmiast zajmowanych przez Polaków.

Słyszeli podniesione głosy, szwargoczące w popłochu, kategoryczną mowę Rosjan a nawet kilka polskich słów – dochodziły zza zagajnika i dwójka uciekinierów zawróciła, zanim ktokolwiek ich zauważył.

- Spróbujemy się tam dostać od drugiej strony – odezwał się mężczyzna półgłosem, po rosyjsku, zataczając ręką łuk w stronę, w którą powinni teraz pójść.

Słońce niedawno wychyliło się zza gór, była szósta rano a oni szli przez całą noc, dźwigając wszystko co posiadali. Młoda kobieta pomimo zmęczenia nie zaprotestowała, tylko skinęła głową.

- To już niedaleko? – upewniła się, patrząc w kierunku gdzie między drzewami majaczyły zarysy pierwszych domów. – Tam się zatrzymamy.
- Tak – mężczyzna przetarł smagłą twarz wierzchem dłoni i zarzucił na ramię karabin, który wcześniej oparł o pień drzewa. – Może znajdziemy jakiś dom. Tu nas na razie nie będą szukać. A potem zobaczymy.

Od ponad trzech miesięcy nie zatrzymali się nigdzie dłużej niż na kilka dni, podróżując na piechotę i pokonując dziesiątki kilometrów, jak najdalej od miasta w którym rozpoczęła się na nich obława. Za to co zrobili, jego czekała śmierć a ją więzienie.

Szukając bezpiecznego miejsca dla siebie, obrali kierunek ziem odzyskanych, które na mocy traktatu wielkiej trójki miały odtąd stać się domem dla tysięcy polaków wracających ze wschodu.

Do doliny dotarli trzymając się koryta rzeki, która płynęła przez otoczoną górami kotlinę. Większość mostów była zniszczona, co dodatkowo utrudniało drogę, zmuszając

do wyszukiwania płycizn i przeprawy w bród. Z zaimprovizowanych przez mieszkańców miast przepraw promowych korzystali w ostateczności.

Odkąd tu dotarli coraz rzadziej natykali się na opuszczone stodoły i budynki, w których mogli przenocować, czasami spotykali ukrywających się tam właścicieli. Marta za każdym razem wyjaśniała im, że nie mają złych zamiarów. Wschodnie rysy jej towarzysza sprawiały jednak, że traktowani byli podejrzliwie i z rezerwą. Zaopatrywali się więc w żywność i wodę, nie zwlekając z opuszczeniem kolejnego miasteczka, aż dotarli tutaj. Wieś nosiła niemiecką nazwę Giersdorf, a po polsku Popławy. Zabudowania były w typowo germańskim stylu – estetyczne i czyste. Nie zauważyli tu szczególnej aktywności wojska. Ludność zgłaszała swoje przybycie władzom, a specjalna komisja do spraw przesiedleń, przyznawała im mieszkania i domy w zależności od liczebności rodzin. Niektórzy zajmowali gospodarstwa na zasadzie kto pierwszy ten lepszy.

Ostatniej nocy ustalili że pójdzie tam sama, a on przyjdzie gdy już wszystko zostanie załatwione, nie chciał ryzykować że ktoś w urzędzie zapamięta jego twarz. Im mniej osób będzie o nim wiedziało, tym dłużej zostaną tu razem. Obydwoje wiedzieli że za kilka miesięcy, gdy Natalia będzie już w zaawansowanej ciąży jakakolwiek ucieczka będzie niemożliwa.

Zanim dotarli do głównej drogi biegnącej przez wioskę, wziął od niej rzeczy które niosła i schował w jednej z jaskiń jakich w okolicy było pełno. Domyślał się że niedługo staną się jego drugim domem i podczas gdy ona będzie w urzędzie, postanowił rozejrzeć się po okolicy. Broń i wyposażenie wojskowe musiał mieć pod ręką, bo kiedy po niego przyjdą - a instynkt mówił mu żeby być na to gotowym - nie zamierzał poddać się bez walki. Musiał się też pozbyć dokumentów.

Objął ją jeszcze, zanim ruszyła leśną ścieżką w dół, a kiedy zniknęła za drzewami , zaczął wyciągać spakowane w plecaku granaty, pistolety i pozostałą broń znaną w trakcie przemarszu przez Polskę.

Potem wziął składaną niemiecką saperkę i zaczął kopać spory dół. Włożył też do niego swój mundur, owinięty w brezentowy płaszcz i oznaczył miejsce, przesuwając spory kamień i rozsypując wokół poszycie leśne. Zjadł kilka placków usmażonych jakiś czas temu przez Martę, kiedy byli jeszcze u jej rodziny pod Wrocławiem i zaczął systematycznie przeczesywać las, zapamiętując wszystkie strategiczne punkty.

Szła ulicą w swojej niebieskiej sukience, teraz już zniszczonej i brudnej, rozglądając się dookoła i nie mogąc się nadziwić urodzie tego obcego miejsca. W tych kilku gospodarstwach które widziała, już zdomowiły się rodziny z dziećmi, przejmując zwierzęta i wyposażenie. Ktoś gonił krowy na pole, pracowały maszyny. Pomyślała że przed wojną musiał panować tu dostatek. Nowi mieszkańcy wciąż jednak niepewni dalszych losów wojny, ostrożnie podchodzili do niespodziewanego obrotu fortuny.

Zatrzymała się przy jednym z ogrodzeń, gdzie jakiś chłop ciągnął oporną jałówkę do obory. Kobieta w obojętności, z głową okrytą chustą kręciła korbą, nawijając łańcuch na drewniany wał i wyciągając wiadro wody ze studni.

- Szukam urzędu, gdzie przyznają mieszkania! – zawołała poprzez ryki zwierzęcia.

Mężczyzna odwrócił się niechętnie, przestając ciągnąć krowę i powiedział coś niezrozumiale, machając ręką w stronę sąsiedniego budynku. Poszła tam za jego wskazówką i zobaczyła niemiecki napis na tabliczce, a obok kartkę z informacją że tu mieści się siedziba komisji i urząd lokalnych władz.

Bez wahania weszła do środka, z przygotowanymi wcześniej dokumentami.

Uzgodnili z Jakubem, że powie im, że pochodzi z Ukrainy, a cały dobytek straciła w trakcie przeprawy do Polski - nie było to nic nadzwyczajnego w tych niepewnych czasach. Zachowała tylko swoje imię i nazwisko., Marta Natalia Napierała.

Przydzielono jej człowieka, który poszedł z nią na drugi koniec wsi. Przeszli przez drewniany most i minęli duży kołchoz skąd dochodziło porykiwanie krów i rżenie koni. Wąska ścieżka biegła tuż przy rzece, której brzegiem wcześniej dotarli tu z Jakubem.

- Dostanie pani pokój z kuchnią w budynku wielorodzinnym – powiedział jej urzędnik, wprowadzając do domu o wiśniowej fasadzie. – To jest ulica Nadwodna, a tu są klucze.

Weszli po schodach na piętro i znaleźli się w przestronnej izbie, gdzie znajdowało się kilka połamanych krzeseł, szafa, stół i łóżko. Podłoga z desek zarzucona była śmieciami.

- Niestety, to zostawili już nasi – powiedział, niechętnie rejestrując stan mieszkania. – Kilka dni temu nocowała tu rodzina repatriantów zza Buga. Dostali większy lokal. Ale ten chyba pani wystarczy?
- Tak, w zupełności – zgodziła się, rozglądając wokół. Dwa niewielkie pomieszczenia, z których okna wychodziły na rosnący w dole sad. Kilka sprzętów. Ich nowy dom.
- Studnia i wychodek są na zewnątrz. Kuchnia na dole – poinformował ją. – Czy jest pani sama?
- Tak – powiedziała, wyrwana z zamyślenia. - Straciłam kontakt z moją rodziną.

Zauważyła że urzędnik pisze kopiowym ołówkiem na kartce w linię i zatwierdza protokół zamasztyrzym podpisem. Jej także kazał podpisać, że przejmuje mieszkanie z wyszczególnionymi pod spodem sprzętami.

- To wszystko. W związku z pracą niech się pani zgłosi za kilka dni. Do widzenia.

Zostawił ją samą i wyszedł. Bolały ją nogi, więc podeszła do łóżka i usiadła, z zaskoczeniem stwierdzając, że jest bardzo wygodne i miękkie, nakryte kraciastym pledem. Tak bardzo chciało się jej spać, przypomniała sobie jednak o czekającym na nią w lesie mężczyźnie i zmusiła się by wstać.

Starannie przekręciła klucz w zamku i zeszła na parter, gdzie przed domem biegały dzieci, a dwie starsze kobiety siedziały na drewnianej ławce, wygrzewając się w słońcu.

- A pani co, nowa? – zapytała domyślnie jedna z nich, mierząc Martę ciekawym spojrzeniem. Mówiła z przeciągłym akcentem, tak, że dziewczyna bardziej domyślała się znaczenia słów.

Skinęła potwierdzająco głową.

- I tak sama panienczka będzie tu mieszkać? – zatroszczyła się druga.
- Z mężem – odparła krótko, uświadamiając sobie, że w tak małej społeczności niewiele da się ukryć. – Przepraszam, muszę już iść.

Bez słowa patrzyły jak odchodzi i znika za zakrętem. Zaraz potem ponownie rozległy się ich jazgotliwe głosy .

Z pewnym trudem dotarła na zalesione wzgórze, stwierdzając, że nikogo tam nie ma. Miejsce było z całą pewnością to samo. Pod drzewem widoczne były ślady czyjejś obecności. Postanowiła usiąść tam i zaczekać, była pewna że on wkrótce wróci. Przedtem przejrzała stan ich zapasów i stwierdziła, że chleba i mięsa starczy na jeszcze jeden posiłek. Nie mieli pieniędzy ani pracy, westchnęła ciężko i wróciła na swój posterunek pod drzewem, dochodząc do wniosku, że jeżeli nic się nie zmieni, będzie musiała jakoś poprosić o pomoc rodziców w Kaliszu.

Rozścieliła na ziemi bawełnianą chustkę i usiadła, opierając się plecami o drzewo i wsłuchując się w świergot ptaków, który jak uświadomiła sobie, brzmiał tak samo jak przed wojną, dając złudne poczucie spokoju. Gdzieś na dnie plecaka leżał jej dziennik. Zastanawiała się czy powinna wykorzystać pierwszą od dłuższego czasu okazję, aby coś zanotować. Przez chwilę walczyła z ogarniającą ją sennością, po czym przymknęła oczy i zapadła w drzemkę.

Obudziły ją kroki w pobliżu i jakiś niezidentyfikowany, przytłumiony dźwięk. Uniosła powieki, rejestrując że słońce zmieniło położenie i teraz świeciło jej prosto w oczy poprzez gałęzie drzew. Spojrzała w bok i z trudem stłumiła okrzyk strachu, widząc utkwione w siebie, martwe oczy sarny. Na rudym futrze w okolicach serca widoczna była krew, ciągle jeszcze płynąca ze świeżej rany.

Jakub uśmiechnął się do niej przelotnie, przygotowując troki ze sznurka. Zaciśnął pętle na tylnich nogach zwierzęcia i zaniósł w stronę zarośli, gdzie umocował je w rozwidleniu młodej brzozy. Wykopał dół i z wprawą zajął się patroszeniem, zaczynając od nacięcia skóry na nogach. Stopniowo zdzierał futro, szybko operując wojskowym nożem.

Nie potrzebował jej pomocy, mimo to stanęła w pobliżu, czujna, na wypadek gdyby ktoś nadszedł. Przyzwyczaiła się już do tego widoku, podczas wielomiesięcznej drogi na wschód. Dziczyna niejednokrotnie pozwoliła im przetrwać, gdy wokół było zbyt niebezpiecznie aby zapukać do drzwi, czy choćby wykopać ziemniaki z pola, skoro wszędzie pełno było wojsk, rekwirujących mieszkańcom cały inwentarz na potrzeby armii.

-Mamy mieszkanie – powiedziała po rosyjsku, gdy skończył pakować podroby do worka. Serce, wątroba, ozór, szynka – mieli co jeść przez kilka najbliższych tygodni. Mieli też

dach nad głową w miejscu, gdzie nikt nie wiedział kim są. Przyszłość malowała się w nienajgorszych barwach.

- Dużo ludzi? – zapytał, wycierając zakrwawioną rękę w trawę. – Jest w pobliżu las? Czy inne domy?
- Dookoła rośnie sad, a niedaleko, za polem jest spory zagajnik – przypomniała sobie widok, rozciągający się z okna drugiej izby. - To mieszkanie na piętrze.

Nie wydawał się tym zachwycony, ale nie protestował, pakując mięso do torby.

- Pójdziemy dopiero po zmroku – zdecydował. – Zostawiłem część broni i naszych rzeczy w lesie, później ci pokażę jak je odnaleźć, gdyby była taka potrzeba.
- Co będzie dalej? – zapytała, patrząc na niego uważnie. Wydawał się spięty i czujny bardziej niż to wydawało się konieczne. – Czy jesteśmy bezpieczni?

Przez chwilę milczał, podchodząc i siadając obok niej. Z tego miejsca mieli widok na kawałek biegnącej poniżej drogi. Trochę dalej w bok ciągnął się łańcuch gór, a zachodzące słońce oświetlało widoczny w oddali fragment zamkowej wierzy.

- Nie wiem Natasza. Wiem tylko że muszę unikać funkcjonariuszy polskiego Urzędu Bezpieczeństwa i rosyjskiego NKWD. Spróbuję znaleźć jakąś pracę w okolicy, tam jest jakieś inne miasto – wskazał na południe. - Jutro pójde i popytam.

Z tymi rysami i językiem rosyjskim sprawa wydawała się jej ryzykowna. Nie był przeciętnym Słowianinem. Jego wygląd zdradzał go bardziej niż cokolwiek innego. Skośne oczy, czarne kręcone włosy, ciemna karnacja, wszystko to przywodziło na myśl stepy pod Uralem i nieodmiennie kojarzyło się z okupantem, który w swoich szeregach posiadał na wpół dzikich żołnierzy, ściągniętych z odległych zakątków Rosji. Każdy kto go zobaczy, natychmiast zorientuje się że jest tu obcy.

- Pamiętaj, zawsze mów że przyjechalіśmy z Ukrainy – przypomniał jej.

Objął ją ramieniem i pozwolił przespać jeszcze tych kilka godzin, do zapadnięcia zmroku. Myślał o stacjonujących niedaleko, bo zaledwie kilkanaście kilometrów stąd oddziałach, przy których roiło się od tajniaków i donosicieli. Myślał o ludziach, wśród

których mieli już niedługo zamieszkać. Może patrząc na ten obcy krajobraz przypominał sobie Rosję, i rodzinę, którą tam zostawił.

Mógł tylko mieć nadzieję że się uda.

Lipiec 1947 Podgórzyn

- Milka! Wracaj do domu! Milka!

Krzyki kobiety obudziły ich niespodziewanie. Było w nich coś złowróżbnego. Poza tym, cały dom pogrążony był w ciszy. Jakub zerwał się z łóżka i błyskawicznie naciągnął koszulę i spodnie, wyciągając spod łóżka karabin.

- Zostań tam – nakazał jej, wyglądając przez uchylone okno. – Są tutaj – dodał, widząc wysiadających z samochodu tajniaków UB w asyście milicji.

Sąsiadka z parteru wciąż nawoływała dziecko.

Na schodach rozległ się tupot nóg obutych w ciężkie oficerki. Łomotanie do drzwi kolbą sprawiło, że Marta poczuła mdły posmak strachu. Z trudem przemieściła się w kąt łóżka, nie wiedząc co robić. Jakub zajął miejsce przy oknie, obserwując wejście do budynku.

- Nie bój się, nic ci nie zrobią, przyszli po mnie – powiedział cicho, pakując do kieszeni zapasowy magazynek do pepeszy i wpychając visa za pasek spodni.

Z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Otwierać!

Walenie kolbą w drzwi nie ustawało. Drzwi dygotały, w każdej chwili grożąc wypadnięciem z zawiasów. Śpiące obok łóżka niemowlę obudziło się z głośnym płaczem.

Dał jej znak żeby otworzyła, a sam przygotował się aby zeskoczyć w dół, na skarpę. Wtedy niespodziewanie rozległa się salwa z karabinu, przecinając drzwi w połowie i rozpryskując w środku drzazgi.

Okrzyk bólu sprawił że obejrzał się za siebie i zamarł w bezruchu. Leżała na łóżku, wijąc się z bólu i rękami tamując płynącą z nogi krew na wysokości uda.

Bez chwili namysłu zaczął strzelać przez drzwi, a gdy wreszcie zapadła tam cisza, podbiegł do niej, aby obejrzyć ranę.

- Przeszła na wylot, słyszysz mnie Natasza?! – zawołał, odrywając kawałek materiału z pościeli. – Przeszła na wylot! Nie uszkodziła kości. Zaraz zawołam Ewę żeby sprowadziła lekarza, słyszysz?!

Skinęła głową z poszarzałą z bólu twarzą.

Obandażował ściśle jej nogę, tamując częściowo upływ krwi. Starał się nie zwracać uwagi na okrzyki bólu i płacz obudzonego dziecka. Za drzwiami nadal mogli czekać na niego, mogli już okrążyć dom i odciąć mu drogę ucieczki. Zeskoczył z parapetu na ciągnącą się kilka metrów niżej skarpe i zastukał w sąsiednie okno.

Natychmiast otworzyła mu błada, przerażona dziewczyna.

- Natasza potrzebuje lekarza – powiedział jej po polsku. – Widziałas ich?
- Są z przodu – wyszeptała -biegnij dołem przez sad. Zaraz pojedę rowerem do przychodni. Nie martw się.

Idąc za jej radą, zgięty w pół, z karabinem przygotowanym do strzału pokonał wzniesienie i zagłębił się między drzewa, przytapiąc się na tym, że nasłuchuje najlżejszego dźwięku od strony zabudowań. Żałował że nie zdążył zabić ich wszystkich, czających się na korytarzu. Żałował że zdecydował się przyjść tej nocy do domu. Ale musiał przynieść jedzenie, ćwiartkę cielaka ubitego w jednej z okolicznych wsi.

Od kilku tygodni wiódł życie partyzanta w okolicznych lasach, bawiąc się z szukającymi go ubekami w podchody. Wiedzieli że kiedyś przyjdzie. Ktoś musiał im powiedzieć. Domyślał się kto i postanowił że się zemści, przy pierwszej okazji jaka się nadarzy, nie miał już nic do stracenia.

Strzały w sadzie rozległy się, gdy już był daleko lesie, biegnąc do jednej z oddalonych kryjówek za Zachełmiem. Szum leśnego strumyka płynącego z gór zagłuszał wszystkie dźwięki, w tym odgłos jego kroków i przyspieszony oddech. Chwilę później wtopił się w las jakby nigdy go tu nie było.

W mieszkaniu przy ulicy Nadwodnej panował zamęt. Kilkumiesięczne dziecko rozpaczliwie płakało w drewnianym łóżeczku, milicjanci i dwóch ormowców pilnowało drzwi. Przybyły na miejsce lekarz z trudem powstrzymał przedstawicieli władzy ludowej od aresztowania rannej kobiety, prawie bez przytomności leżącej na łóżku. Oskarżali ją o udzielanie schronienia niebezpiecznemu zbiegowi i przestępcy, który zabił młodego chłopaka, milicjanta na służbie. Jemu już nie mógł pomóc, zaraz po przybyciu stwierdził zgon, od rany postrzałowej w tętnicę szyjną. Wykrwawił się na śmierć.

Nie mogąc schwytać winowajcy, próbowali wyładować swoją wściekłość na niej. Komendant MO Józef Antczak pałał żądzą zemsty. W niewielkiej społeczności Podgórzyna każdy znał każdego, a Kamiński został wezwany osobiście, gdy nieznany sprawca zastrzelił na własnym podwórku ojca młodego Antczaka. Stary nie był lubiany, wiadomo było że donosi na ludzi. Nikt jednak nie życzył mu śmierci. Może oprócz jednego człowieka, którego życie zamienił w piekło i który nie zawracał sobie głowy prawem. Mówili o nim Mongoł.

Był tu obcy, ale nie był nieprzyjacielem. Nie dołączył do żadnej z band szabrujących ponemieckie dobra, chociaż oskarżali go o to, troszczył się o swoją rodzinę; kobietę i syna, i nie wtrącał się w cudze sprawy. We wsi mówili że to żona starego Antczaka, Rosjanka którą przywiózł tu ze sobą ze wschodu podburzała go, żeby doniósł na niego władzom. Nie pamiętali już, że to dzięki niemu mieli co jeść, gdy przynosił na wymianę mięso, i że stary Antczak na początku sam chodził z nim kłusować. Tacy to byli ludzie.

Jednego roku, po urządzeniu obławy w lesie, schwytali go i przewieźli saniami Antczaka do aresztu w Jeleniej Górze. Niespełna tydzień później uciekł im, przeskakując przez druty kolczaste otaczające spacerniak. Kamiński wezwany na przesłuchanie musiał złożyć oświadczenie, że nie pomagał rannemu zbiegowi i nie widział go na oczy. Tymczasem rana była paskudnie zainfekowana, krwawe pręgi biegnące wzdłuż klatki piersiowej i brzucha trzeba było zeszyć. Zapora miała ponad dwa metry wysokości i do dziś nie rozumiał, jakim cudem udało się ją Rosjaninowi przeskoczyć. To Ewa zaprowadziła go do lasu w nocy. Uwierzył jej, gdy powiedziała, że to dobry człowiek.

Tymczasem Martę znowu aresztowali, pomimo że była w ciąży. Chłopiec, jak mówili potem o Mirku, jeszcze siedząc u matki w brzuchu już siedział.

- Ta kobieta zostanie zabrana do szpitala – powiedział komendantowi, pakując do torby skromne przybory jakimi dysponował. – Jest ranna i osłabiona z powodu utraty krwi. W każdej chwili może zacząć rodzić.
- Powinno się ją zamknąć razem z tym mongolskim bękartem, ale tym razem na dłużej żeby więcej nie pomagała dezterom. Panu także radziłbym uważać, doktorze – ostrzegł Kamińskiego. – A z tobą – zwrócił się na odchodnym do Marty – jeszcze nie skończyłem. Wyszedł, trzaskając podziurawionymi drzwiami.
- Zabieramy ją do szpitala – lekarz skinął na stojących w korytarzu gapiów. – Pomóżcie mi ją przenieść na dół, tylko ostrożnie. Sąsiadce polecił zaopiekować się dzieckiem, które wciąż płakało, pozostawione samo sobie.

Kilka dni później, w szpitalu w Jeleniej Górze urodził się drugi chłopiec.

Miał smolisto czarny kosmyk włosów na czubku głowy, dwie skośne szparki oczu i śniadą skórę. Przyszedł na świat osiemnastego lipca i nosił wszelkie możliwe podobieństwa do swojego ojca, porucznika, oficera Armii Czerwonej.

Spał, gdy drzwi na salę otworzyły się i do środka weszło dwóch uzbrojonych żołnierzy, wywołując popłoch wśród pacjentów na korytarzu. Za nimi szedł milicjant i jeszcze jeden człowiek w cywilu. Eskortowali więźnia.

Słaby i wycieńczony dostrzegł ich od razu i podszedł bliżej łóżka. Jedną dłoń miał obandażowaną kawałkiem szmaty.

- Stoj, Budrykow – zatrzymał go ten w cywilu. – Masz pięć minut.

Odsunęli się, pozwalając aby drżącymi dłońmi podała mu niewielkie zawiniątko. Był spokojny i opanowany, uśmiechnął się przelotnie, odsłaniając buzię noworodka i przyglądając mu się przez chwilę. Jego pierwszy syn był bardziej podobny do matki, ale ten był niemal jego własnym odbiciem. Nie wiedział, że za kilka lat ludzie będą mówili o chłopcu, że wygląda „jak skóra zdjęta z ojca” i że geny dadzą o sobie znać.

Potem oddał jej dziecko, a widząc że chce coś powiedzieć, potrząsnął tylko głową.

- Idziemy – to był rozkaz.

Odwrócił się i nie patrząc na nią więcej, pozwolił wyprowadzić się z sali.

Na zewnątrz założyli mu kajdanki i wsadzili do furgonetki.

Silnik przez chwilę nie chciał zapalić, wreszcie zaskoczył i samochód ruszył, znikając za zakrętem ulicy.

Franciszka Napierała

Jakub Budrykow --- Marta Napierała --- W. Zygmunt

Jan Napierała

Zbyszek      Mirek Zygmunt---Barbara

Krzysiek i Waldek Zygmunt Iwona

Grzegorz Zygmunt